

Przecież nie będę udawać, że to mi się wszystko przyśniło?! (reportaż oniryczny)

Gwałtownym ruchem otworzyłem drzwi, nie odwracając się nawet w stronę mamy. Na chwilę przystanąłem na korytarzu, po czym założyłem puchową kurtkę i przykleknąłem, aby dosięgnąć butów, które leżały chaotycznie pod komodą, obok kurzu i pajaków.

- *Mówiłam, żebyś je zawsze chował* - dodała mama, trzymając w dłoni już pewnie zimną kawę. - *Weźmie ci je kiedyś i pogryzie.*

W odbiciu lustra, wiszącego przy wieszaku na kurtki, spostrzegłem, jak spoglądała naprzemiennie na mnie i na małego, pręgowanego psa, leżącego na legowisku niedaleko misek z karmą i wodą. Na chudej, kudłatej szyi zawieszoną miał skórzaną obrózkę z metalowym wisiorkiem, podpisanym „Oddy”. Moja siostra ma w zwyczaju zostawiać go u nas, kiedy akurat wyjeżdża, wylatuje, wypływa lub robi cokolwiek innego, co zmusza ją do kolejnej rozłąki ze swoim pupilem. Nigdy za nim nie przepadałem - szczególnie, gdy zamiast spać, w nocy zastanawiałem się, w jaki sposób z takiego małego zwierzęcia potrafi wydobyć się tak ogromny hałas. Dlatego przez ostatnie kilka miesięcy jego brak w naszym domu mogłem uznać jako jeden z niewielu plusów kwarantanny. I choć dla mnie jest to oczywiste i jestem pewien, że wszystko pamiętam bardzo dokładnie, cóż - niektórzy zachowują się, jakby nic się nie stało.

Po zawiązaniu butów szybko wstałem. Zakręciło mi się w głowie, ale po chwili odzyskałem równowagę. Pośpiesznie przeszukałem kieszenie kurtki i faktycznie nie znalazłem tam całego asortymentu, który zawsze ze sobą targam. Nie chcąc już wdawać się w dyskusje z mamą, ściągnąłem z wieszaka brunatny szalik i otuliłem go wokół twarzy tak, aby zasłaniał usta i nos. Przy drzwiach wejściowych czekał na mnie plecak, który wydawał się cięższy niż zwykle, jakiś taki zapełniony. Zaciekawiony, ale też lekko zestresowany, ostrożnym ruchem otworzyłem go i spojrzałem do środka. Był piątek - upewniłem się, spoglądając na datę widniejącą na środku ekranu telefonu. Polski, angielski, matma... Przesortowałem kilka razy podręczniki, które znajdowały się w środku i za każdym razem ich ilość była adekwatna do ilości zaplanowanych na dzisiaj lekcji. Dziwne, bo zostawiłem je przecież na biurku, tuż obok laptopa użytkowanego teraz częściej niż używam własnych nóg. Próbowałem nie panikować, spojrzałem zdezorientowanym wzrokiem w lustro. No tak, styczeń, rok 2021, jest piątek, jutro sobota, wczoraj był czwartek...

Zmarszczyłem brwi. Natłok bezsensownych myśli przerwał wibrujący telefon.

Przeszukałem nerwowo spodnie, po czym w końcu chwyciłem urządzenie. Na jasnym wyświetlaczu figurowała wiadomość od mojej koleżanki - w skrócie spytała, czy przyjdę dziś do szkoły. Do szkoły? Popatrzyłem jeszcze raz w lustro, potem poszukałem wzrokiem w głębi korytarza mamę. Mimowolnie zacisnąłem zęby i dłoń. Z kuchni dobiegał głos spikera radiowego, nawołującego kierowców do ostrożnej jazdy, aby każdy bezpiecznie dojechał do domu przed weekendem.

Nie wiem, może zapomniałem o zmianie planu - może dzisiaj wyjątkowo spotykamy się w szkole, a mnie zwyczajnie wyleciało to z głowy. Spoglądając na wskazówki zegara, przełożyłem plecak przez ramię, poprawiłem szalik i niepewnym krokiem wyszedłem na zewnątrz. Było wcześniej rano, słońce dopiero wschodziło, przecinając pomarańczowym ostrzem korony drzew. Starsza pani szła wolno na przystanek autobusowy, wspomagając się drewnianą laską, w drugiej ręce zaś trzymała pustą siatkę. Na jej twarzy nie widniało nic, rozumiecie: nic! prócz nieśmiałego uśmiechu.

Kiedy przyjechał autobus, słońce znajdowało się znacznie wyżej, dokładnie nie wiem, jak długo czekałem na przyjazd busa w towarzystwie tej kobiety. Wsiadłem jako drugi, okazałem swój bilet miesięczny i zająłem typowe dla siebie miejsce: z tyłu po lewej stronie przy oknie. Z każdą kolejną osobą, pojawiającą się w już wystarczająco przecieź! zatłoczonym pojeździe, moje dłoń intensywniej drżały i mimo uciążliwej fali ciepła szalik nadal znajdował się w tym samym miejscu, zaśnaniając usta i nos. Nie rozumiałem, dlaczego ludziom tak swobodnie przychodzi kontakt fizyczny, dlaczego nie unikają siebie nawzajem i dlaczego nie zachowują przy tym zwykłego zdrowego rozsądku. Nikt nie czuł się niekomfortowo. Naprzeciwko mnie siedziała grupka znajomych, którzy wymieniali się butelką z napojem. Musiałem dziwne na nich patrzeć, bo niedługo po przypadkowym nawiązaniu z jednym z nich kontaktu wzrokowego, cała zgraja przesiadła się na drugą stronę autobusu, szepcząc i chichocząc między sobą. Zaraz potem zaczęli coś mówić, później wykrzykiwać w moją stronę, dokładnie nie wiem co. Nie odpowiadałem, siedziałem sztywno wyprostowany i nieobecny - pewnie wyglądałem komicznie, może niepokojąco. Po dłuższej chwili ciszy największy z nich, krótko obcięty dryblas, wstał i z uśmiechem na twarzy pewnym krokiem podążył w moją stronę. Będąc znacznie za blisko mnie! z telefonem w dłoni powtarzał te same słowa, co wcześniej. Mimo wysiłku woli, widziałem tylko, że poruszał ustami, ale nie rozumiałem go, jakby pochodził z innego wymiaru. W końcu, widząc niezmienny brak mojej reakcji, zmienił metody i postanowił agresywnie złapać mnie za ramię. Szarpnąłem się gwałtownie, spojrzałem gniewnie na niego zza szalika i - sam nie wiem, jak to się stało - osiłek zaskoczony moją postawą odskoczył gwałtownie, zapewniając uspokajającym ruchem ręki swoich kolegów, że wszystko w porządku. Wtedy ja wstałem pośpiesznie i zbliżyłem się do wyjścia. Łokciem szturchałem czerwony przycisk obok drzwi, spoglądając równocześnie na wszystkich wokół, najwyraźniej zainteresowanych moją osobą.

Czyżbyśmy nie pasowali do siebie? Kiedy usłyszałem dźwięk piszczących hamulców, wyskoczyłem z pojazdu, niefortunnie prosto w kałużę, po czym udałem się w stronę parku, oddalonego o kilka minut drogi od mojej szkoły.

Co jest nie tak? We mnie? W nich? W świecie dookoła? Przysiadłem na trochę na ławce, niedaleko małego stawku i dużej, starej wierzby. Z kieszeni wygrzebałem papierosa, zapaliłem go. Chyba na moment przysnąłem, bo ocucił mnie ból przypalonej skóry. Zgasilem fajkę, nonszalancko przygniatając ją butem. Podparłem się o kolana i zamknąłem oczy. Po chwili poczułem w ustach stony smak łez. Naprawdę nie wiedziałem, co się ze mną dzieje.

- *Wszystko dobrze?* - dobiegł mnie z tyłu znajomy głos. Odwróciłem się i zobaczyłem ją, stojącą niepewnie w długiej, aksamitnej sukni, z zarzuconym na nią kremowym płaszczem. Było już ciemno, jakbym nieświadomie przesiedział na tej ławce cały dzień. Kręciło mi się w głowie, ale zdążyłem się już do tego przyzwyczaić. Zauważyłem, że zamiast puchowej kurtki ubrany byłem w czarny garnitur. Nie miałem już sił, by zastanawiać się dlaczego, więc szybko odpowiedziałem na pytanie.

- *Tak, czemu pytasz?*

- *Bo przed chwilą wybiegłeś z sali, a studniówka nawet się jeszcze nie zaczęła.*

Czy ja o czymś nie wiem? Studniówka?! Pomyślałem, że potrzebuję pomocy. Nie potrafię zachowywać się tak, jak kiedyś i nie pozbędę się z głowy wydarzeń ostatnich miesięcy. Nie ufam nikomu i boję się kontaktu z ludźmi. Wszyscy zachowują się, jakby nic się nigdy nie wydarzyło. Jakbym żył w swojej bańce, nie wiedząc, co się dzieje wokół.

Chyba myślałem na głos, bo zaraz poczułem, jak wtula się mocno we mnie, nie chcąc puścić.

- *Uspokój się, proszę* - mówiła cicho i niewyraźnie. - *Zaraz się zacznie, mamy tańczyć poloneza w pierwszej parze.*

Popatrzyłem na nią. Delikatnie objąłem ją wpół, wiedząc, że przynajmniej na chwilę muszę wejść w tę grę? Popatrzyłem na zegarek, dochodziła osiemnasta.

- *Ale jak studniówka? Tak po prostu, bez ograniczeń?*

- *Nie wiem za bardzo, o czym mówisz* - popatrzyła się na mnie, podśmiewając się lekko. - *Coś mi się wydaje, że za dużo wypiteś z kolegami.*

Zaśmiałem się, fakt, ale odszedłem trochę dalej, żeby tego po sobie nie pokazać.

- *No chodź, nie mamy czasu* - chwyciła mnie za rękę. - *Naprawdę mi się spieszy, żeby zobaczyć, jak oni będą grać.*

- *W sensie?*

- *No w sensie nauczyciele, w orkiestrze* - zmarszczyłem brwi, słysząc kolejne wypowiedane przez nią słowa. - *Dobra, nie interesuje mnie, w jak bardzo dziwnym stanie jesteś dzisiaj. Idziesz ze mną albo pójdę sama.*

Zamigotało mi przed oczami. Oczywiście, że z nią pójdę, nawet jeśli do końca nie wiem,

na co się piszę i co ta za sen czy gra?

Następnego (chyba?) dnia wstałem wypoczęty, jakbym przespał ostatni tydzień, miesiąc, kwartał. Zegar wskazywał siódmą, co oznaczało, że muszę powoli przygotowywać się do nowych wyzwań rzeczywistości. Otwarłem butelkę wody, napiłem się spragniony i wyrzałem przez okno. Nic mnie już nie dziwiło. Wszystko uznałem za całkiem zwyczajne i normalne.

I tylko Tobie, drogi czytelniku, pozostawiam interpretację tych słów...

Klara Zima, I LO

im. Marcina Wadowity w Wadowicach